ROZMAITOŚCI.

Dnia 25. Października. Ner 43. Roku 1854.

MANELLO MOSCHINI

z francuzkiego p. Antony Méray.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 32. 33. 34. 35. 36. 37. 40. 41. 42. Rozmaitości.)

XI.

La Gettatura.

Przyjechawszy do Ankony, gdzie mieszkała Giglia, obrachowałem się spiesznie z weturynem, by jak najprędzéj ją powitać. Jak wszędzie tak i tu obstąpiła wóz gawiedź uliczna przypatrując się przybyłym. Moi towarzysze podróży niezważali na to, i ja z początku nie zwracałem na to uwagi.

Ale jeden z ciekawych z turecka ubrany niespuszczał szczególnie mnie z oka, wpatrywał się we mnie bez ustanku i z rażącą bezczelnością. Ten człowiek miał długą siwą brodę, brwi nadzwyczajnie gęste spadały mu na powieki poorane zmarszczkami. Jego ubior podobny był do stroju żydów smyrneńskich i Ormian zwiedzających porty Adryatyku. Kilkakrotnie usiłowałem uniknąć jego przenikliwego wzroku odwracając się od niego; ale to go bynajmniéj niezrażało, albowiem ile razy popatrzyłem w stronę gdzie on stał, zawsze wzrok jego spotykał się z moim.

Ta uporczywość zaczęła mi być nieznośną, upatrywałem w tém spojźrzeniu wyraz szyderstwa i urągania się ze mnie. Ten bezczelny kramarz pomimo swéj starości przypomniał mi groźne spojźrzenie mego rywala w Rimini. Zapytałem weturyna czy zna tego człowieka.

— Sicuro! odpowiedział, to stary Osa, cały świat go zna; więcéj jak dwadzieścia lat że sprzedaje fałszywe kamienie i paciorki w Ankonie; myślałem że go już niema tutaj, bo już niewidziałem go z półtora roku.

Gdy stary spostrzegł, że się o niego wypytuję weturyna, powitał go z daleka skinieniem ręki, mrucząc pod nosem buon giorno.

— Ten stary hultaj, jak go pan widzisz, dodał mój konduktor, posiada doskonały sekret na uroki.

— Doprawdy! proszę, jabym sądził przeciwnie, że właśnie on najłatwiéj może urzec człowieka.

Wiadomo, że we Włoszech między ludem rozpowszechniony jest przesąd, że spojźrzenie niektórych ludzi bardzo może

być szkodliwe, i to złe spojźrzenie nazywają gettatura. By się ochronić od uroków, trzeba nosić przy sobie rękę stalową, albo z słoniowéj kości lub z koralu; ta ręka musi trzymać sztylet albo mieć podniesiony palec, na znak groźby przeciw oku z którego pochodzi gettatura.

Gdym się dowiedział, że ten Ormianin miał w mieście imię dobrego człowieka, wstydziłem się sam méj obawy i przystąpiłem śmiało do niego.

— Eccellenza! rzekł do mnie głosem przeciągłym i pokornym, mam piękne paciorki różane; sprzedam tanio ręce koralowe, palce lub małe sztylety przeciw urokom!

— Dziękuję, dziękuję, nieboję się uroków.

— Ah! co téż Wasza Excelencya gada!

— Niepotrzebuję nic z twego towaru; ale powiedz mi znasz ty miasto i tych co w niém mieszkają?

— Czy znam, Eccellenza! już od trzydziestu lat jestem tu zamieszkały.

— Powiedz mi więc, gdzie mieszka Romolo Gangheri.

— Iddio mio! Czy Excelencyi niewiadomo że Romolo Gangheri już nieżyje. Tylko wdowa Giglia Michelli, mieszka w domu.

— Wiem o tém; pokaż mi drogę.

Kramarz opuścił swą budę i poszedł przodem. Idąc drogą odwrócił się do mnie mówiąc:

— Ładna-to kobiétka signora Gangheri!... a bogata!... wartoby postarać się o jéj łaskę.

Na skręcie ulicy pokazał mi na prawo:

— Idź pan w tę stronę; piąty dom za austeryą dei Slavoni, ztąd widać godło.

Chciałem mu zapłacić za trud i stracony czas, ale ku mojemu niemałemu zdziwieniu niechciał przyjąć pieniędzy, lecz oddalił się życząc mi szczęścia. Dobrzem zrobił żem się do niego udał; gdybym bowiem niebył doświadczył jego uczciwości, niebyłby przestał niepokoić mnie swoim przenikliwym wzrokiem.

Zastałem Giglię w domu. Była w grubéj żałobie; czarny korunkowy welon pokrywał jéj obfite włosy na znak żałoby; w tym stroju wydawała się jeszcze bielszą niż zwykle. Widząc mnie nieokazała prawie żadnego zdziwienia, podała mi tylko rękę i rzekła poważnie:

— Oczekiwałam twego przybycia, Manello; odtąd wolno mi kochać ciebie.

— Jakież szczęście niespodziewane! moja najdroższa Giglio, przecież Bóg zlitował się nad nami! Ten nikczemny Romolo....

— Proszę cię Nello, przerwała mi Giglia, nie mów tak o moim mężu; powinnam szanować jego pamięć. Za prawdę, nie umiałam go należycie cenić za jego życia.

Znana mi była anielska dobroć Giglii, ale niespodziewałem się bynajmniéj, ażeby aż żałowała zgonu męża, którego jéj w tak okrutny sposób narzucono.

— Dziwi cię zapewne co ci powiadam, rzekła po chwili Giglia, bo niebyłeś przy tém, kiedy się żegnał ze mną wybierając się w ostatnią podróż.

— Przebaczył ci zapewne nasze spotkanie się w Rimini? Jeżeli tak, moja droga, to postąpił sobie roztropnie. Odgadł szlachetność twego serca; chciał cię zniewolić do wierności okazując się tak wspaniałomyślnym.

— Nie, mój przyjacielu, wcale niemówił o przebaczeniu; niewspomniał nawet nigdy o naszéj przygodzie w Rimini, jak gdyby zupełnie o tém był zapomniał. Odjeżdżając okazał się względem mnie tak dobrym i czułym, żem się tego nigdy po nim niespodziewała.— Puszczając się w podróż morską do Lewanty, na morze zasiane skałami, gdzie burze tak często się srożą, rzekł do mnie przy pożegnaniu, niemożna wiedzieć, moja żono, czyli Bóg szczęśliwie powróci mnie do portu. Jeżeli umrę, kochana Giglio, chcę przynajmniéj zostawić ci w puściźnie mój majątek, gdyż biorąc cię z Rzymu, przyrzekłem uczynić cię szczęśliwą.

— Jakto! on to uczynił? zawołałem pełen zdziwienia.

— Tak jest, ten którego zemsty się obawiałam, postąpił sobie tak szlachetnie. Pokazał mi swój testament, w którym mi zapisał wszystko pod tym jednym warunkiem, ażebym nigdy niezostawiała tego domu w Ankonie bez mieszkańców, i żebym w nim pozostała na mieszkaniu przynajmniéj dwa lata od dnia jego śmierci; potem dodał możesz tu umieścić mego stryja Gangheri, mieszkającego teraz w Rzymie. Życzeniem jego było zawsze powrócić do Ankony gdzie się urodził; niechby tutaj mieszkał na starość.

— Co za szczególna myśl w takiéj chwili!

— Nic w tém niewidzę dziwnego, odparła Giglia, zwyczajnie niewinne zachcenie. Nakoniec gdy już wsiadał na okręt, rzekł do mnie te słowa, których niezapomnę całe moje życie: — „Bądź spokojna, moja żono, czy umarły czy żywy, czuwać będę zawsze nad tobą.“

— To dziwna, myślałem że to człowiek mściwy i okrutny.

— Teraz pojmujesz kochany Nello, dlaczego twa Giglia, która cię nigdy nieprzestała kochać, niepowróciła do Rzymu po śmierci Romola. Dlatego także nieśmiałam wezwać cię do Ankony, chociaż pragnęłam mieć cię przy sobie w moim własnym domu.

— Povera! czy zawsze jeszcze jak dawniéj boisz się upiorów? Czy obawiasz się jego zazdrości nawet z tamtego świata?

— Żartuj sobie ze mnie jeżeli chcesz, kochany Manellino; ale ponieważ dusza żyje po śmierci, dlaczegożby niemogła być ciekawą wiedzieć, co robią na tym świecie osoby, których kochała? Ja w to bardzo wierzę, i wiedz że ile razy sobie przypomnę jego ostatnie słowa przy pożegnaniu, zawsze mnie strach przejmuje.

— Moja najdroższa Giglio, szanuję twoją wiarę i trwożliwość. Jakże tęsknę za chwilą kiedy zawsze będę przy tobie, by cię uspakajać przeciw nocnym marom.

— Ah prawda, Nello, szczególnie w nocy strach mnie napada. Kilka razy zdawało mi się, że widzę cień jego

przesuwający się po-pod moje okna przy świetle księżyca; zdawało mi się nawet że stoi nad mojém łóżkiem i patrzy na mnie.

— Takie urojenia mogą jeszcze szkodzić twemu zdrowiu: trzeba opuścić ten dom.

— O! teraz już się to skończyło; bojąc się bym nieumarła ze strachu, kazałam Juliecie spać przy mnie, i od tego czasu nic już niesłyszałam. A porzucić niemogę tego domu, przyrzekłam mieszkać tu dwa lata: chcę przynajmniéj wypełnić tę wolę Romola; czyliżto tak długo? A potem, pomyśl że mamy przed sobą szczęśliwą przyszłość, któréj odtąd nikt już niezakłóci.

— A gdy się skończy twoja żałoba, kochana Giglio, wtedy obejmę na miejscu Juliety straż przy tobie.

Rozmawialiśmy długo o naszém upragnioném połączeniu; układaliśmy piękne plany, przygotowywaliśmy sobie przyszłość szczęśliwą. Serce Giglii odżyło radością, uśmiech zajaśniał znowu na jéj ustach. Odwiedzałem ją codziennie i wkrótkim czasie rozprószyłem mary dręczące jéj chorowitą wyobraźnię. Powróciła jéj dawna wesołość i swoboda; zapomniała o strachu, a jeżeli wspomniała o swym zmarłym mężu, to tylko błogosławiąc go za jego dobroć. Pewnego wieczora, kiedyśmy znowu odświeżali nasze świetne nadzieje, zatrzymała mnie Giglia po raz piérwszy na wieczerzę. Po trzech miesięcznéj żałobie niewidzieliśmy w tém żadnego uchybienia pamięci nieboszczyka.

Kolacya była tak wesoła jak gdybyśmy jeszcze byli przy ulicy Mario-di-Fiori; brakowało nam tylko ojca, starego Giannone. Przechodziliśmy w pamięci piérwsze lata naszéj znajomości, piérwsze nasze błogie pamiątki: nasze czytania wieczorne, kwiaty z willi Borghese, nasze pieszczoty dziecinne; wszystko to przychodziło nam w pamięć. Tém szczęśliwsi byliśmy przechodząc tak naszą przyszłość, że nikt już niemógł stanąć nam w drodze i rozbić nasz związek.

— Ah Giglio! moja najsłodsza przyjaciółko, rzekłem do niéj, nigdy niezdołam ci wypowiedziéć, jak cię kochałem, jak cię kocham.

— A ja, Nello mio! czy możesz ty pojąć, ile cierpiałam gdy mnie zmuszono do zrzeczenia się ciebie?

— Biédna Giglio! szczęściem przeszkoda którą postawiono między nami, ustąpiła sama, i nic nam już nie przeszkodzi połączyć się nazawsze.

Mówiąc to pochyliłem się ku niéj by ją ucałować, uśmiech szczęścia rozjaśnił jéj lice. W tém nagle biédna kobiéta odwraca głowę, oczy jéj stają w słup, okropna bladość pokrywa jéj lica i z krzykiem przerażenia pada zemdlona w moje objęcia. Przestraszony sam tą nagłą zmianą, niewiedząc zkąd mogą pochodzić te oznaki trwogi i ten okropny stan w jaki popadła, pytam ją głosem błagalnym o przyczynę, ale żadnéj nieodbieram odpowiedzi. Straciła przytomność i niesłyszała już mego głosu.

Kto mógł być przyczyną téj śmiertelnéj trwogi! Obejźrzałem się: pokój był próżny, byliśmy sami, zawołałem na

Juliettę, ona nic niesłyszała ani widziała; była pewna że nikt niewszedł do pokoju i nikt niewyszedł od nas. Gubiłem się w domysłach; wiedziałem ile Giglia dawniéj była bojaźliwa; ale jakież-to straszne przewidzenie mogła mieć przy moim boku i prawie w mych objęciach? Julietta potwierdziła mi, że jéj pani od śmierci męża doznawała kilkakrotnie podobnych napadów przerażenia.

Wiedząc że ciało nieboszczyka niebyło pogrzebane, obawiała się ciągle, ażeby błąkająca się dusza Romola nie okazała się jéj żądając téj ostatniéj posługi. Mawiała że będąc dzieckiem słyszała wiele o podobném objawianiu się duchów. Jednak utrzymywała Julietta, że nigdy niewidziała biédną Giglię w takim przestrachu jak dziś.

Po długich usiłowaniach przywróciliśmy ją znowu do przytomności. Otworzyła oczy, odetchnęła głęboko, chciała wstać ale upadła znowu w krzesło. Po chwili spojźrzała na mnie, wzrok jéj przybrał znowu wyraz przerażenia; posunęła ręką po czole, odgartując prędko swe włosy:

— To ty, mój Nello! Nic tobie nie wyrządził złego!..

— Któżby mi miał zrobić co złego, moja droga! Wszak widzisz, że tylko Julietta przy nas.

— On... Romolo... Czy niewidziałeś go? Jak groźnie spoglądał!... Dotknął się mego ramienia, gdyś mówił; obejźrzałam się i... widziałam go... To on, to mój mąż, który zatonął...

— Mój aniele, opamiętaj się; wszak widzisz, ani ja ani Julietta nikogośmy niewidzieli; uspokój się, niezostawimy cię samą.

— Ah! uchodź Manello, zawołała, uchodź jeżeli mnie kochasz; on zazdrośny! O! błagam cię, uchodź, bo tutaj grozi ci nieszczęście!

(Dokończenie nastąpi).

POWRÓT WIOSNY.

Słońce się z mglistych otrząsa chmur.
Z dolin i gór
Zimowe, śnieżne spada okrycie:
Jasnym połyskiem śrebrzą się wody,
W łonie przyrody
Wre życie!

I znów na ziemię powraca raj.
Pola i gaj
Napełnia nuta jakaś radośna;
Kwiat swe tulące zrzuca osłonki,
Wonią tchną łąki:
To wiosna!

Skowronek wzbił się w powietrzny szlak!
Miły to ptak,
Gdy na skrzydełkach zawieszon spiéwa,
I cały urok rozkwitłéj wiosny
W swój spiew miłośny
Przelewa.

O gdyby serce mogło tak żyć,
Tak słodko śnić,
Z uwiędłych marzeń, z uczuć zawodu,
Po burzach życia znów się ocucić,
Kochać i nucić,
Jak z młodu!

(Wierz *Gustawa Zielińskiego* w Bibliotece Warz.)

STOKRÓTKA.

(Z bajek Andersena.)

Ot, przyjacielu, mam wolną chwilę, opowiem ci bajkę.

Niedaleko ztąd we wsi, pod lasem, stał piękny dworzec; musiałeś go widziéć pewno. Przed nim, od drogi, jest mały ogródek z kwiatami o malowanych sztakietach; tuż obok niego nad rowkiem, śród najpiękniejszéj zielonéj murawy, rosła mała stokrótka; słońce ogrzéwało ją tak samo, jak rozkoszne, wspaniałe kwiaty ogródka; toż rosła wdzięcznie i rzeźwo. Pewnego poranku przebudziła się w całym blasku swéj krasy; jak śrebrna korona, zdobiły białe listeczki maleńkie żółte słoneczko we środku. Ani myślała o tém, że nikt ją niewidzi w trawie, i że jest biédne, wzgardzone kwiecie; o nie — była bardzo rada, zwracała się wprost ku złotemu słońcu, uśmiechała się doń i przysłuchywała skowronkowi, co spiewał w powietrzu.

Mała stokrótka była tak szczęśliwa, jakby w wielkie święto, a przecież był-to dzień pracy. Dziatwa siedziała w szkole i uczyła się; i ona także siedziała na swym małym, zielonym pieńku i uczyła się od słońca i całéj przyrody, jak Bóg dobry i wielki; i podobało się jéj to bardzo, że mały skowronek wszystko to, co czuł w głębi serca, spiéwał tak wyraźnie i pięknie. I stokrótka spoziérała z niejakiém uszanowaniem ku szczęśliwéj ptaszce, co mogła latać i spiéwać, ale niesmuciła się tém wcale, że jéj niedano skrzydeł. „Wszak widzę i słyszę!“ — myślała sobie; — „słońce oświéca mnie a las całuje! O, jakże hojnie obdarzyły mnie nieba!“

W ogródku, za sztakietami wabiło wzrok tyle dorodnych, okazałych kwiatów, a im mniéj woni w którym, tém więcéj blasku i krasy. Piwonie nadymały się, by przewyższyć wielkością różę; ale wielkość nic tu nienada! Tulipany miały najjaskrawsze sukienki i wiedziały o tém dobrze, bo stały ciągle wyprężone, by każdy mógł im się dziwić zdaleka. W próżności swéj niezważały wcale na lichą stokrótkę nad rowem, ale zato ona przyglądała się im tém więcéj i myślała sobie: „Jakże one piękne i bogate! O, pewno ten luby ptaszek zlatuje do nich i odwiédza je często! Bogu dzięki, żem urosła tak blizko, i mogę choć patrzéć na to!“ I właśnie, gdy to myślała: „Ćwirk, ćwirk!“ — zleciał skowronek; ale nie do piwonii i tulipanów, o nie — w trawę do biédnéj stokrótki. Nieboga aż przelękła się z radości i niewiedziała sama co myśléć.

Ptaszyna tańczyła dokoła niéj i spiéwała: „O jak tu miękko i miło w trawie! A jakito luby, maleńki kwiateczek ze złotém sercem i srebrną koroną!“

Jakże szczęśliwą była stokrótka — nie, tego nikt pojąć niezdoła! Ptaszek całował ją swym dzióbkiem, przyspiéwywał jéj i wzleciał znów potem w błękitne przestworze. Dobra chwila minęła, nim kwiatek opamiętać się zdołał. Napół zawstydzony, ale z radośném sercem spojźrzał ku innym kwiatom w ogrodzie; wszak one widziały, jaki zaszczyt go spotkał, i musiały pojmować, co to za radość i szczęście. Ale tulipany wyprężyły się jeszcze bardziéj, niż piérwéj, piwonie poczerwieniały ze złości; szczęście, że nieumiały mówić, bo byłaby stokrótka usłyszała ostrą przymówkę. Biédny, mały kwiatek widział to dobrze, że się dąsały na niego, i bardzo go to bolało. W téj chwili weszło do ogródka dziéwczę z dużym ostrym błyszczącym nożem, i przechodząc pomiędzy tulipany ścinało jeden po drugim. „U!“ wstrzęsła się mała stokrótka; — „to okropnie; teraz już po nich!“ Dziéwczę odeszło z tulipanami, a stokrótka cieszyła się, że ją los postawił zdala małym, lichym kwiatkiem; serce jéj biło wdzięcznością, a gdy słońce zaszło, stuliła swobodnie swoje listeczki, usnęła i marzyła przez całą noc o słońcu i maleńkim ptaszku.

Nazajutrz zrana; gdy uszczęśliwiona wyciągnęła znów wszystkie swe listeczki niby drobne ramionka ku słońcu, poznała w pobliżu głos ptaszyny; — ale czemuż spiew jego taki rzewny i smutny? O, musiał być smutny, bo biédny skowronek został schwytany i siedział teraz w ciasnéj klateczce tuż przy otwartém okienku. Toż opłakiwał straconą wolność, spiéwał o młodém, zieloném zbożu na polu, o lubych wycieczkach, które w dniach szczęścia robił w powietrze ku niebu. Biédna ptaszyna spiéwała kwiląc w swém ciasném więzieniu.

Mała stokrótka takby rada mu pomódz! Ale cóż miała począć? napróżno biła się z myślami. Nieboga zapomniała zupełnie, jak piękny świat dokoła, jak miło przygrzéwa słońce, i jak ślicznie śrebrzą się jéj listki. Myślała tylko o biédnéj uwięzionéj ptaszynie, któréj dopomódz niebyła wstanie.

W téj chwili wyszło z ogrodu dwóch chłopczyków; jeden trzymał nóż w ręku, duży i ostry, jak ów, którym dziéwczę ścinało tulipany. Szli wprost ku małéj stokrótce, która niemogła pojąć, jaki zamiar mają.

„Tu możemy wyciąć piękny trawnik dla skowronka!“ rzekł jeden z chłopców i zaczął wykrawywać czworobok około stokrótki, tak że pozostała w pośrodku trawnika.

„Wyrwij ten kwiatek!“ rzekł drugi, i stokrótka zadrzała z trwogi, bo zostać wyrwaną znaczyło postradać życie; a teraz takby żyć rada, bo mogła z trawnikiem dostać się do klatki skowronka.

„Nie, zostawmy go!“ odrzekł piérwszy; „to cała ozdoba trawnika.“ I tak została stokrótka i dostała się do więzienia skowronka.

Ale biédne ptaszę żaliło się głośno na swoję niedolę i biło skrzydełkami o druciane kratki; stokrótka nieumiała mówić, niemogła pocieszyć go żadném słówkiem, choć z duszy by rada. Tak minęło pół dnia.

„Tu niéma wody“ — wołał nieszczęśliwy więzień. „Wszyscy wyszli i zapomnieli dać mi choć kroplę napoju. Moja krtanka sucha spieczona! We mnie lód i ogień, a powietrze tak duszne! O, ja muszę ginąć, żegnać to piękne słońce, tę wesołą wiosnę i wszystkie te cuda, które Bóg stworzył!“ A potem zanurzył dzióbek w chłodną ziemię trawnika, by się choć trochę orzeźwić. Wtedy ujżrzał stokrótkę, wyciągnął doń szyjkę, całował ją dzióbkiem i mówił żałośnym głosem: „O, i ty musisz tu uschnąć, biédny, mały kwiatku! Ciebie i mały płatek zielonéj trawy dano mi za cały świat, który miałem w dniach wolności! Każde źdźbełko trawy ma być dla mnie drzewem, każdy twój listek biały wonięjącym kwiatem! Oh, wy przypominacie mi tylko, ile utraciłem!“

„Któż go pocieszyć zdoła!“ — myślała stokrótka; ale niemogła nawet listkiem ruszyć, woń jednakże wychodząca z drobnych listeczek, była daleko silniejsza, niż zwykle u tego kwiatka; i ptaszek poznał to zaraz, a chociaż ginął z pragnienia i w bolu szarpał zielone źdźbełka, nietknął przecież kwiatka.

Nastał wieczór, a jeszcze nikt nieprzyszedł, by podać biédnéj ptaszynie choć kropelkę wody; wtedy wyciągnął skowronek piękne swe skrzydełka i wstrząsł niemi konwulsyjnie, spiew jego był-to ostatni jęk boleści, mała główka pochyliła się ku kwiatkowi, i serce ptaszyny pękło z żalu i pragnienia. Wtedy niemogła już stokrótka jak zeszłego wieczora, stulić swych listków i marzyć, lecz zbolała i smutna zwiesiła główkę ku ziemi.

Dopiéro nazajutrz zrana przyszli chłopcy, a gdy spostrzegli, że ptaszę nieżyje, płakali, płakali długo i wykopali mu malutki grobek, który przyozdobiono kwiatkami. Zwłoki ptaszyny zamknęli w piękne, czerwone pudełko i sprawili królewski pogrzeb. Biédne ptaszę! gdy żyło i spiewało, zapomnieli o niém, zostawili je w klatce i dozwolili mu zginąć z pragnienia; teraz uczczono je ozdobą i łzami.

Ale trawnik ze stokrótką rzucono w pył na gościniec, i nikt niepomyślał o téj, co najwięcéj czuła dla nieszczęśliwéj ptaszyny i tak szczerze ją pocieszyć pragnęła!

DZIWACTWA ARTYSTÓW DRAMATYCZNYCH W PARYŻU.

Artyści dramatyczni w Paryżu, mianowicie zaś znakomitsi, mają szczególne dziwactwa zwane tam „Taf" i „Tic;" mają swoje kaprysy, wyłączne namiętności, a większa ich część umie żyć tylko na deskach teatralnych, tak jak żeglarze tylko na swoich okrętach. Nawet w sprawach poważnych, na giełdzie lub na ławie przysięgłych, na straży przed ratuszem i w innych podobnych wypadkach nie zapominają o nawyczkach swych teatralnych, a w głowie roją się im dziwne nie raz rzeczy. Kiedy się zbierze czasem kilku aktorów lub aktorek, natenczas najmilszą ich zabawą odgrywać komedyę, a nawet parne, letnie wieczory, kiedy dyrektor teatralny nie może czasem zebrać potrzebnéj liczby klaskaczy — nie wstrzymują ich od pilnego zwiedzania teatru, chociaż żadnéj roli ani obowiązku właściwego nie mają. Żyć bowiem bez tego powietrza nie mogą. Życie ich teatralne ma coś upajającego, i dlatego też przychodzi aktorom i aktorkom tak trudno porzucić scenę. Historya życia teatralnego nie miała jeszcze swego Deoklecyana lub Karola V, któregoby wiek, choroba lub inna konieczność nieodzowna nakłoniła do porzucenia sceny. Panna Mars, ta 50 letnia Zuzanna, która mimo podeszłego już wieku zdołała zjednać stałych wielbicieli, często mawiała: *„je sais que l'heure de la retraite a sonné pour moi, mais accordez moi encore la permission de dix heures."* Lemaitre postradał już głos i zęby, a jeduak grywa jeszcze role nieme z największą ochotą. Boccage występnje na scenę przy każdéj nastręczającéj się sposobności, chociaż już się dobrze podstarzał i piękny zebrał majątek. Odry, twórca właściwego jemu tylko rodzaju komiki, tudzież słynny Bilboquet wytrwali aż do ostatniéj chwili, i kiedy został na starość burmistrzem w pewném mieście prowincyonalném, to i wtenczas jeszcze p. Bilboquet usposabiał młodych miłośników sztuki dramatycznéj i grywał z nimi komedye. Brunet przychodził co wieczór za kulisy teatru Rozmaitości, chociaż dawno już przestał występować na scenie. Zwykle przywdziewał kostium ulubionéj swéj roli i upewniał z szczególną naiwnością, że czeka tylko na to, aż go reżyser wezwie na scenę, i to go jedno pociesza. Pewnego wieczora podjął się grać rolę gospodarza domu, który miał za kulisą pukać do ściany, lecz nie pokazywać się na scenę. Wzruszenie przed wystąpieniem przed pnblicznością zwie się u aktorów „taf." Lemaitre radził sobie przy nadzwyczajnych wypadkach w ten sposób, że wychylał duszkiem butelkę bordońskiego, a to się nazywa *„noyer le taf."* Tiserand z Odeonu zapina ciągle i odpina tużurek, lub wdziewa i ściąga rękawiczki. Numa przechodzi się krokiem zamaszystym, a Geoffroy przytyka czoło do ściany. Arnal zgrzyta zębami i wywija rękami jak Don Kiszot w walce z wiatrakami. Arnal ma jeszcze oprócz swego *„taf"* także i *„tic,"* i nie może bez oburzenia znieść żadnéj zmiany dekoracyi. Posunięcie krzesła na bok niecierpliwi go i miesza. W pewnéj sztuce występować miał z cienką laseczką. Inspektor nie mogac znaleźć przygotowanéj, podsunął mu inną. Arnal dostrzegł téj zamiany i oświadczył, że nie wystąpi, jeźli mu nie wrócą jego laseczki. Reżyser musiał nareszcie zapowiedzieć publiczności, że p. Arnal zasłabł nagle, i nie może dokończyć swéj roli. Panna Rachel siedzi w krześle niema z założonemi rękoma i spuszczonemi w dół oczyma. Co się w koło niéj dzieje, o tém wcale nic nie wie, i tém się nie troszczy. Lęk wystąpienia przed publicznością dodaje jednym dowcipu, drugim zaś odejmuje przytomność — lecz wszyscy bez wyjątku mają swoje *„taf."* Panna Dejazet, która od małego dziecka występowała na scenę, jest jedyną z artystek znamienitszych, niepodlegających tym ułomnościom powszechnym. Dawniéj, za lepszych czasów, a mianowicie za restauracyi, kiedy-to jeszcze Paryżanie przepadali za teatrem, było jeszcze gorzéj. Wówczas wyświstywano jeszcze tak aktorów jako i autorów. Teraz nie, to już ustało, lecz natomiast poskąpiła się publiczność i z oklaskami. Ta obojętność naprowadziła na utworzenie cechu klaskaczy czyli klakierów. Próżność aktorów i pisarzów dramatycznych nie może się obejść bez tych klaskaczy i wyniosła ich do pewnéj powagi. Jakoż sam nawet Mayerbeer naradza się nie raz z szefem klakierów opery, a w ogóle schlebiają mu tak autorowie i aktorowie, jako i kompozytorowie. Ztąd też taka zarozumiałość głównego klakiera i pycha, gdy się temi słowy ozywa: „Niewiem jeszcze, co się da zrobić z téj sztuki; muszę wprzód przejść ją i rozpoznać z uwagą;" albo kiedy wyprasza się od wizyty jakiego aktora mówiąc: „że teraz pracuje w gabinecie swoim z tym lub owym autorem." *Auguste* i *Porcher*, tudzież słynny *Dawid* należą do najznakomitszych parasytów życia teatralnego w Paryżu. Porcher miał nawet u własnych swych współzawodników taką wziętość, że główny klakier z Palais Royal tém się raz usprawiedliwiał przed autorem po pierwszém przedstawieniu sztuki, że niepodobna mu było wywiązać się należycie z zadania swego, bowiem obecność Porchera na balkonie ciągle go mieszała. W razie obecności Cesarza na operze dowiaduje się główny klakier: *faut-il faire montrer l'Empereur?* Klakierowie otrzymują gratyfikacye od wielbicieli aktorek, spiewaczek i tancerek, a zwykle także i płacę miesięczną od samych artystek. Klakier *„en chef"* jest zwykle człowiek dobrze się mający; pożycza pieniądze na procent (aktorom), a często także wchodzi z autorami w umowę. O tych klakierach dałoby się wiele dziwnych rzeczy powiedzieć, a zresztą należy ich uważać za nieodstępny cień wszystkich artystów i artystek teatralnych.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*